

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

REJ z NAGŁOWIC.

ROK 1841.

Poznań, dnia 23. Czerwca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Wianki na Wiśle.

(Dokończenie.)

II.

Było to jednego wieczora, kiedy już ciemne niebieskie obłoki zwolna na niebie się roztoczyły, a tło ich rozjaśnione milionami gwiazd, pobiegał księżyc promieniami srebrzystymi i rozlewał ową jasność melancholiczną — co tak do duszy przemawia, aby natłok myśli tęsknych z niej wydobyć, obudzić! — Rok później przechodziłem po tej samej Warszawie; ale już nie w stronie jej wesołej — lecz pomiędzy drzewami, których wierzchołki wznosiły się po za mury — sterczące jak na straży tego miejsca — i te drzewa zdawały mi się smutne, tak wystrzeżliły ku niebu, a jednak owisły ku ziemi — to są wierzby płaczące.

Daléj, widzę, coś zbliża się ku mnie jakby cień jaki, wolna postać kobiety — coraz bliżej; rozpoznaję w niej owę hożą dawniej dziewczynkę, rokiem starszą, a ileż wieku znać przeżyła! Zaczepiam ją, już ona się tak od razu nie oddaje szczerocie. — Serce, dusza skłania ją do miłości ludzi — ale czemuż ten postrach w jej twarzy? spytam się — przypomnę jej zeszłe czasy.

«Co tu robisz tak sama w tej stronie panienko?» — Chciała uciekać, lecz wstrzymałem jej drżącą rękę — «nie bój się moje dziecię, powiedz co ci?»

«Ach! ja ludzi kochałam; ale teraz, o tu, nie daleko, widziałam złość onych, i myśleć muszę, że oni niedobrzy.»

«Słuchaj, to nie ludzie byli, kształt, szata ciebie zwiódła — opowiedz mi daléj — gdyż złe to szatani

robią, a nie dziw — szatani, oni serca nie mają — lecz gdy napotkasz człowieka i rękę ci poda i łzę uрони z tobą, pomyśl: «» są więc ludzie pięknej duszy i czulego serca.«»

Ona wtedy zaczęła czoło przecierać, marzyć, a potem jak we śnie opowiadać: — «Szczęście — tak, niedawne szczęście, myśl mi zajęło.»

Chcąc ją obudzić, mówiłem: «Pamiętasz, rok temu, kiedyś wianek rzucała — wyrocznia czy sprawdziła się?» — Lecz na to ona głębiej marzy, a przerywaną mową sobie odpowiada: «Wyrocznia, tak była dobra, z poświęceniem przyszedł — nie aby zobaczyć dziecko przyręczone jemu, lecz poznać ducha przyszłej swój życia połowy. Zateśknął — chciał widzieć w nowych naszych myślach czas nowy, uczuł potrzebę zrozumienia się wspólnego — pamiętam ja dobrze ten wieczór — gdzie przyszłość jaśniała w słowach jego — i znalazł myśli, które jemu biegly w pomoc, widział istnienie onych — bo komużby lepiej myśl pięknej ludzkości nie przystała, jak sercu ufnemu w dobro!» — Chciała pójść daléj — ale nalegał, by mi powiedziała, co jej jest: ona spokojnie patrzyła, mówiąc: «Wieczór był późny, skwarny lecz ciemny — bo miało się na burzę; — zapukało coś u drzwi — ale słabo. — Mówiliśmy z ciotką o snach, o umarłych; dreszcz nas przejął i każda w duchu dumala — a w tém drugie stuknięcie, niecierpliwsze, zbudziło nas. — Otwieram — oto on, Edmund — wpada w uściski matki — i nie ma siły oderwać się, bo miłość i przywiązanie nie miały granic, — on już był z nami od samego rana, poznał nas — i walczył z uczuciami, które za ledwie był w stanie przy ludziach potłumić — i teraz wziął mnie za rękę, ścisnął — i choć pocałunku

dawnego nie żądał, jednak mile dłoń w dłoni utoneła — i mówił: »Lat tyle — a przecie żadnej zmiany — tyle zdarzeń — a te same wspomnienia dla nas; tyś równa — tyś zawsze mnie kochała — i będziesz moją — i zawsze ze mną.« — Odpowiedziałam z radością: »To i ty więc z nami?« — tu milczał, popatrzył po nas — i my się z ciotką radością poili, lecz cichą — słów nie było, samo uczucie zastąpiło wszystko, byłato chwila najuroczystsza, najtkliwsza w życiu naszym! — W tém daje się słyszeć przed domem naszym turkot różny wcale od innych, odskakujących kół — i dzwonek zabrzmiał — w uszach dźwięk jego mi pozostał — napróżno wołałam, błagałam — że on nic nie zrobił, że całki występki jego chyba — że kocha! — Odepchnęli mnie — a on, mój Edmund, w tej stronie,« — i boleśnie zapłakała — a potem siadła na wilgotnej murawie, pokazała naprzeciw siebie palcem i oczy jej dziwnie iskrzyć poczęły — dreszcz mnie smutku przejmował — i mówię: »Tyś chora, tu zimno — wstań, odprowadzę cię do domu« — ale ona nie słyszy, wlepila wzrok w mur przed nią stojący, i z szyderczą twarzą mówi do mnie: »Śmieć się — bo tu nie nie obaczysz, ja zaś patrzę i widzę i zaraz ci opowiem — tam sięgają moje przeczucia i tego mi wzbronić nie mogą, ja na tém miejscu ukryta czuwać i śledzić ich będą poruszenia, nie uludzą mnie — już tu od wczora niejeden zabrzmiał dzwonek, ale nie miał on tego głosu, który mi w uszach jęczy, on stęzał mi w uszach na głaz, on stężył mi serce i krew, on przykuł me ciało do tego miejsca.«

Gdy skończyła, trzask jakiś się rozległ, i widziałem coś naksztalt wozu — przeleciało spieszenie — a ona zawrzała straszliwie: »Słyszysz, słyszysz — dzwonek bije — ten sam dźwięk żałobny.« — Ja się obracam, lecz cicho jak w grobie, patrzę więc na nią. — »Ach, ty nie rozpoznasz, bo nie czujesz — pobiegnę — może w przelocie zdążę go dojrzeć.«

Biedna dziewczyna! — pomyślałem; gdy śmiech dziecka mnie dolatuje, to znów ona, woła: »Zobaczył mnie, już sercem małżonek, i poznał — gdyż rękę wyciągnął — tyś nie widział — długo ją trzymał, wyschła, skościła już.« — Tu śmiech konwulsyjnie usta jej wykręcił — i mówiła dalej: »Ale groźną musiała mieć postać, kiedy i tę schować kazano — ha! ha! ha!« — Długo się biedna śmiała, uśmiechem okropnym, urywanym, jęklwym, który mi przebrzmieć nie może.

III.

Dnie i noce, a po nich lata mijaly — a dziewczyna zawsze do tych miejsc chodziła, do nich przy-

wiązała wszelką swą pamięć, wszelkie uczucie. — Powiadano rozmaite o niej powiastki, że kochała zbytecznie, że jej kochanka porwano, że teraz dziwnie, dziwnie skacze, śmieje się, patrzy w niebo, gwiazdom i księżycowi się kłania, i znów skacze i śmieje się i jest szczęśliwą! — a w domu milczącego, posępna — gdy ludzi obaczy — dziko spogląda — ucieka — zgola szalona! —

Jednak lubili tę waryatkę — nie wiem — pewnie dla jej młodości! — Nawet sławne artystki jeździły ją oglądać, aby oddać sztukę, natury wysilenie — i pamięć waryatki zachować.

W....., 1840.

Marzenie było mu życiem.

Powieść przez Stefanią F....

I.

Gdyś wiek przeminął — wstrzymaj się u ścieku,
Ostatniem powróć na przeszłość obliczem —
Zlicz dni szczęśliwe, a wyznasz człowieku
Czémkolwiek byleś — że lepiej być niczém....

Mickiewicz z Lorda Byrona.

Za wioską w niewielkiej oddali był smętarz dookoła fossą obwiedziony. Gdzie niegdzie posadzone drzewka ocieniły to smutne i zimne człowieka ustroenie — a niektóre połamane czy przyrody czy też ludzi ręką, poschły i niszczały zupełnie. Od strony drużyny była mała brama na kłódkę zamknięta — jednak w niektórych miejscach wypełniona ziemią fossa wolny każdemu zostawiała przystęp. Mało przecież ciekawych przestępowało te progi śmiertelne. Dzieci tylko czasem, pasąc bydło rodziców, płaśaly tam swobodnie, nie myśląc nawet, że depcą popioły swych ojców — lub czasem bydlę zęczone wiosenną trawką szukało tam smacznej żywności. — Jeden tylko ozdobny grobowiec wznosił się samotny w tym przybytku ostatniego schronienia — zresztą wiejscy tylko tej gromady mieszkańce składali pod nędznym ziemi wzgórkim pracowite i robocze ciała, wzgórek uległ się z czasem, trawka i mech na nim porosły, ciało w proch się rozsypało, a ludzie pierwój go już zapomnieli. Rozpięty tylko na krzyżu Zbawiciel czuwał w środku smętarza nad dziećmi swojemi, i przyjmował każdego pod swą świętą opiekę. Wiosna to była, ziemia wyschła po wilgociach zimy, słońce ciepłe i wesołe patrzyło z góry złotemi promieniami. Ludzie krzątali się — cieszyli i witali ukochaną wiosnę jak przyjaciela, co wraca do swoich po oddaleniu długim. I na smętarzu trawka się zieleniła, kwitły różnobarwne kwiateczki, drzewa liśćmi się odziały, wszędzie mały tę

ziemię, pod którą spoczywały ostatnie ludzi nadzieje. — Wieczór zapadał, kończył się dzień pracowitego i słońce do spoczynku się zabierało. Lekki pomrok wieczorny zalegał na ziemi, gdy młodzieniec jakiś wolnym krokiem do smętara się zbliżał. Był on blady, smutny, w żałobę odziany, oczy miał zzerwienione od płaczu i niewywczaśu, bo pod mogiłą samotną wspaniale wzniesioną pogrzebał niedawno ukochaną matkę. Tam on szedł dzisiaj, tam on chodził co dnia, tam płakał na grobie matki, tam modlił się za nią do Boga! Wysokie balaski otaczały dokoła mogiłę nieboszczki, on sam miał klucz do niej, bo jak za życia nikt z nim nie dzielił serca jego matki, tak i po śmierci on tylko sam chciał nad grobem jęj płakać.

»Patrzajta,« mówił do sąsiada przechodzący mimo smętara wieśniak — »nasz młody pan znowu jest tutaj. Biedny, żal mi go serdecznie, on musiał bardzo kochać nieboszczkę panią. — Boże świeć jęj tam nad duszą!«

»I jakże nie miał kochać, kiedyćto ona była taka dobra. Taćto młodą jeszcze bardzo odumarał nieboszczyk jegomość, a pani nie chciała już nigdy potem pójść za drugiego — choćta mówili dworacy, że i niejedni i gładki i bogaty chciał ją za żonę. Ale ona nie — pana Janusza tylko kochała i nigdy nie chciała przyzwolić, żeby on dostał ojczyrna.«

»I biedny nasz panicz pewno nie myślał, że go tak prędko matka odumrze. Jeszcze niedawno, jakęśma tamto pole pod lasem zasiewali z wiosną, to oboje przypatrywali się naszej robocie.«

»Tak, tak, śmierć to przychodzi jak złodziej — ani się człek spodzieje, kiedy mu powie: Pójdź Kubo do wójta! — A pamiętacie sąsiedzie moją Kasę, jeszcześma razem byli w niedzielę w kościele — a w czwartek jużem musiał myśleć o pogrzebie...« I otarł łzę z oka poczciwy chłopiec, co mu wspomnienie żony z serca wycisnęło, milczał i sąsiad jego, i tak dalej w milczeniu dochodzili do wioski.

»Ej, dajta pokój tym żalom sąsiedzie« przemówił znowu wieśniak — »cożta robić, kiedy na to nie ma rady. Powiedzta no lepiej, co też myślitą — co będzie robić teraz nasz pan, czy zostanie on tu we wsi, czy też pojedzie do miasta. Podobno ma on w mieście krewniaków i z ojca i z matki?«

»Bóg raczy wiedzieć, co on myśli robić — choćta ma i krewniaków, to pewnie nie wiele dbają o niego. Taćto przez lat dziesięć z górą, jak zapamiętam, to nie wiem, czy raz był kto we dworze z jęj krewniaków. Taćmoja chałupina tuż pod bramą, a mój Stach służy tam za fornała, człek choć i nieciekawy, to usłyszy czasem co ze dwora.« — Kręcił głową

wieśniak, a że już byli we wiosce i niedaleko jego domostwa, pożegnał sąsiada i wszedł do chaty, gdzie go spoczynek i wieczerza czekały. Wkrótce też w całej wiosce zaległ sen spokojny i twardy — zapomniano tam i o paniczu i o nieboszczce pani, w dworcu tylko opuszczonym i smutnym paliła się jeszcze samotna lampa i czuwał drzemiąc stary sługa. Czekał on na powrót pana Janusza, który jeszcze nie wrócił z samotnej przechadzki. Wiedział sługa wierny, kędy jego pan przebywa, i bez szemrania odganiał sen, co zmarzał stare oczy jego, by za powrotem usłużyć biednemu panu. Rozmyślając nad przeszłością weselszą i lepszą, zmordowany zdrzemnął się w samotném dumaniu. On też tylko jeden pozostał w smutnym dworcu, reszta sług odeszła z przybytku łez i żalu, szukając weselszego pobytu na świecie. Smutno też było w tym dworze po śmierci nieboszczki — pan nie gadał do nikogo — nikt nie zajrzał tam z obcych, a dzień za dniem schodził jednostajny, bez zmiany ni żadnej nadziei, I dzisiaj jak zwykle — wrócił pan smutny i milczący — pies tylko szczekając dał znać o jego powrocie, a sługa się zbudził, zerwał i poszedł odemknąć drzwi na haczyk zawarte. Wszedł pan cicho i jakby się bał zbudzić kogo — milcząc zrzucił odzież, a gdy się sługa oddalił, wziął świecę, poszedł do drugiej izby, siadł w krzesle, i zasłoniwszy twarz rękoma, znowu gorzko płakać począł. Tam na ścianie wisiał obraz matki jego, to było wszystko, co mu pozostało z szczęśliwej — swobodnej — rokosznej przeszłości — wszystko — nic nie miał więcej, a żal, wspomnienia i smutek zasłoniły mu nawet nadzieję przyszłości! I tak płakał samotny, opuszczony, a całun żałobny co myśl jego zaległ, zasłaniał mu resztę świata i pociechę wszelką.

II.

Jakkolwiek w twardej Bóg doświadcza próbie,
Zapomnij o swym proszku — zważ na ogrom świata:—
Mickiewicz.

W dworze pana sędziego po kościele zebrali się sąsiedzi — jak to zwykle bywa radzili o tém i o owém. Zrazu o gospodarstwie, o siewach jarych, gdzie i jakie lepiej wschodzą, gdzie i jak lepiej gospodarzą, aż wreszcie przyszła mowa o sąsiadach nieobecnych i nakoniec o panu Januszu. Mało go znali, nie wiele widzieli, ale że to wioska jego była graniczną z dobrami sędziego i jednego jeszcze z przytomnej szlachty, to i nie dziw, że wiedzieli, co się za miedzą graniczną dzieje.

»Ale, ale,« zawołał szlachcic sąsiad Janusza — »nic waćpaństwo widzę nie wiecie o naszym sąsie-

dzie, a wszak to chłopak niczego, jak ludzie mówią, nie głupi i nie biedny, ale cóż, kiedy jakiś dzikus — do żadnego z sąsiadów ani zajrzy — tylko płacze a płacze za swoją panią matką.

„No! panie sąsiedzie“ przemówiła tu pani sędzina — „przecież mu tego za złe nie weźmiecie, że żaluje swojej matki — wszak to chluba, zaletą dla syna, kiedy żaluje rodziców.“

„O! niech mnie Pan Bóg zachowa od tego, że bym mu to miał brać za złe, ależ widzicie mościa dobr, i żal powinien mieć miarę — a rozpaczy zabrania nam nawet sam Pan Bóg — a ten młodzieniec, jak słyszę, rozpacza, nawet go wszyscy słudzy odeszli — a on z jednym tylko starym sługą siedzi sam jeden we wiosce i nocę całe trawi u grobu matki.“

„Biedny chłopczyna! żał mi go niewymownie — oj! boć też to sierota cięższy niż kamień, mój panie.“

„Prawda, prawda, wielka prawda mościa pani“ przemówił pan sędzia — „ale kogo Pan Bóg kocha, temu krzyżyki zsyła — a człek winien się zawsze zgadzać z wolą Najwyższego.“

„Tak, dobrze to nam mówić, co nie mamy troski w duszy, ani cierpienia w sercu, ale temu, co cierpi, to się to wszystko inaczej wydaje — i nie ma ani ochoty, ani czasu do pociechy.“

„No, bądź co bądź — ten młody człowiek niszczy tak zdrowie i życie swoje. Byli tam wczoraj u mnie ludzie z jego wioski, co ich ekonom przysłał po owies do siejby — a jeden z nich, poczciwy wyjadacz — gaduła — to mi aż z płaczem o młodym panisku opowiadał, jaki on to zawsze smutny, nic do nikogo nie gada nigdy, zamyka się tam gdzieś w czwartej izbie, a blady, mizerny, gdyby Piotrowina z grobu.“

„A jać go znałem dzieciuchem,“ mówił sędzia — „jeszcze jakem bywał u nieboszczyka ojca jego — ale nie wiele — bo ten pan, Boże świeć mu tam nad duszą — to nie bardzo lubił na wsi mieszkać — zawsze w mieście, a hulać, rozrzucić pieniądze — w to mu tylko graj, a cudzoziemców to wolał niż swoich. Nie bardzo też była szczęśliwa żona jego, i nie długo Pan Bóg powołał go na tamten świat. — Z całego, a dużego majątku, pozostało tylko po nim te parę wsi, które teraz do Janusza należą, i to jeszcze nieboszczka jego matka popłaciła długi — oczyściła — zagospodarowała, i ot teraz Janusz ma przecież piękny mająteczek — a jeżeli się chłopak opamięta, a będzie statek, to da Bóg, że będzie miał za co i żyć po ludzku i sąsiada przyjąć. — Oj! dobrać to była pani, jego matka, ale mało z kim się widywała, bo całkiem się oddała wychowaniu syna;

i choć kto do niej przyjechał, to go nigdy nie odwiedziła — a tak też powoli wszyscy się odstrychnęli.“

„Prawda,“ mówił dalej po chwili sędzia — „że to był dowód nowój — jak oni to nazywali — mody, takiój, jak tu ich teraz pełno. Oj, złe, złe! — Ale oni już teraz nie żyją, a co złego tutaj zrobili, to tam przed Bogiem odpowiedzą.“

Zamilkli wszyscy na chwilę — pani sędzina pierwsza przerwała milczenie:

„No! wszystko to dobrze — ależ ten biedny chłopiec zamęczy się; przecież go trzeba pocieszyć, — choćby tylko przez miłość bliźniego.“

„Dobrze mówisz moja pani,“ mówił sędzia — „i ja sam nad tём już myślałem — ale jak to zrobić? — tak pojechać po prostu, ani sposób — każe powiedzieć, że go nie ma w domu i basta! — przekonajże go potem, że on jest doma.“

„Prawda, panie sąsiedzie — trzeba jako inaczej podejść ptaszka — bo jak się spłoszy, to go potem oko ludzkie nie ujrzy. — Oto wiecie co? niby tak jedźcie sobie po jakim interesie przez wieś — o zmierzchu on zawsze wychodzi na smętarz — a tak najlepiej spotkać go niby zniechcenia, zniecka.“

„Dobrze — dobrze — wyborna rada — i zaraz jutro ruszam na tę wyprawę — już ja tam sobie dalej poradzę.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pemysły o wychowaniu ludów

przez Karola Libelta.

(Ciąg dalszy.)

I. Nauczycielstwo ludów.

Wychowanie ludów nie jest jak wychowanie pojedynczego człowieka; inne jest pod względem uczącego i inne pod względem uczącego się; dla tego, że tam jest osoba zbiercza, a zatem niejako idealna, a tu pojedynek człowieka.

Uważanie zatem naszego przedmiotu rozkłada się na dwie części. Uważać nam trzeba zrazu nauczycielstwo ludów, a potem ich uczenictwo; obojgo zaś z wyżej już wytkniętego stanowiska, które kładziemy tu za zasadę: że *wychowanie ludów nie na tём zależy, ażeby z nich zrobić massy uczone i wiele wiedzące, albowi massy umiejętne i do poloru wyższych stanów podniesione; ale aby się w nich do wiedzy rozwinęły pojęcia godności człowieka, z czego konieczne będzie owocem moralność ludów, uszlachetnienie rodzaju ludzkiego. Okażemy bowiem później,*

że ani nauki, ani przemysł, ani ów polor wyższego tonu, nietylko nie są środkami wychowania mass, ale częstokroć nawet nie są pomocą ku temu; że podają rękę równie do moralności jak do zepsucia ludów, i że dotąd najczęściej spychały z toru postęp oświaty ludowej.

Nauczycielstwo ludu, jako osoby zbierczej, z nieskończenie wiele jednostek złożonej, nie może być przywiązane do osoby nauczyciela, jako do jednostki. Jużesmy poprzednio okazali niepodobieństwo, i cel chybiony takiego nauczycielstwa. Nauczycielem ludu, musi być potęga duchowa wyższa i rozleglejsza, niżeli jest potęga pojedynczego człowieka; potęga bez granic czasu i miejsca; potęga duchowa, któraby była w ludzie i w okół niego, któraby wychowanie jego prowadziła z pokolenia do pokolenia, od narodu do narodu, od epoki do epoki, przez wszystkie wieki istnienia rodzaju ludzkiego.

Takim wymagalnościom nauczycielstwa ludów, tylko sam Bóg zadosyć uczynić może. Jak wszędzie zatem, gdzie myśl ludzka do głębi zstępuje, tak i tu w wychowaniu ludów napotyka na ideę Boga, istoty najwyższej i najdoskonalszej, stwórcę i rządęcę światów. Bo wszystkie kierunki ducha badawczego do Boga, jako do ducha duchów, i źródła wszelakiej duchowości prowadzą do niego, jako do morza rzeki, płyną myśli, i niosą dań wód swoich. Bóg zatem przedewszystkiem nauczycielem ludów, Bóg, o którym powiada Paweł ś., że »w nim się ruszamy, w nim oddychamy, w nim wszystko jesteśmy.« Doszliśmy do tego wypadku przez wywód przymiotowości nauczyciela ludów. Atoli można było naprzód już zrobić ten sam wniosek, bo jeżeli Bóg jest twórcą i rządzącą wszech rzeczy, nie miałaby być rządcą ludów? jeżeli jest obecny w całej naturze, nie miałaby być obecny wśród ludzi, gdzie najpotężniej objawił się duch jego ducha? jeżeli przepisał planetom i słońcom, i wszystkim tworom prawidła, miałaby wychowanie narodów puścić na wolę przypadku?

Ludy zatem przedewszystkiem są wychowaniami Boga, i już dla tego, przez sam wzgląd na nauczyciela, niegodne jest człowieka pogardliwe o ludach rozumienie, a nedorzecznym mniemanie, że gmin zawsze będzie gminem, massa massą, w przyjętym poślednim tych wyrazów znaczeniu.

Pytamy się o owoce tego wychowania ludów przez Boga? widzimy je w duchu czasu, w coraz doskonalszych pojęciach godności siebie, które się w massach wyrabiają, widzimy w historii. Historia jest lekcją, którą Bóg daje rodzajowi ludzkiemu, świat jest szkołą, i narody jedne po drugich

odbywają w niej i odmawiają zadania swoje i godziny i postępy téj nauki mieszczą się na wieki, a kurs jój idzie w nieskończoność czasów. Objąć człowiekowi jasnym pojęciem tę szkołę narodów po wszystkie czasy i kraje trudno. Niedocieczone są w ogólności drogi i cele nauczyciela, któremi prowadzi uczenie swoje; a jak na zegarze ściennym nie dojrzyz biegu skazówki godzinnej, acz w dwunastu godzinach koło obieży, tak o wiele więcej w wolnym postępie oświaty narodów, nie dopatrzysz jój zbieżania do wyższego celu. I ztąd nasza niewiedomość w rzeczy wychowania ludów. Jak w historii nikt nie widzi Persów tylko Cyrusa, nikt Macedonów, tylko Filipa i Alexandra, tak i w oświeceniu narodu, nikt nie patrzy na massy, na lud, ale oczyma zwrócone na jego wydatne punkta, na małą liczbę ukształconych mieniem albo rozumem. Kiedy tak przewagę tych dwóch środków mienia i rozumu, zawsze mniejszość, a raczej odrobina tylko całości ludu rządziła; kiedy na mniejszość dla tego zlewały się wszystkie względy i interesa, i około niej obracały się wszystkie działania; — utworzyło się z wiekami, ale dość wczesnie wyobrażenie, jakoby narody reprezentowane tylko były przez ową mniejszość ukształconą; że po za tą mniejszością, po za tymi kilkoma, lub kilkadziesiąt tysiącami ludzi, reszta tylko massa, tłum, tłuszcza, gmin, pospólstwo, motłoch, i jakie tam jeszcze są owéj reszty ludu uczczenia nazwiskowe; że ta reszta nie zasługuje na wzgląd, ni uwagę; że jest niczém w interesach świata, w dziejach i oświeceniu; że najwięcej może być narzędziem, którego mniejszość rozumna do celów swoich używać może i używać powinna. To mniemanie, jakieśmy widzieli, zbyt jest powszechne. Ono Platonowi i Arystotelesowi usprawiedliwiało niewolę, ono średnim wiekom uświęcało feudalizm, ono i dziś, acz oświecone rządy wyzwalają już massy przez oświecenie i wymiar równy sprawiedliwości, ono i dziś jeszcze jakieśmy wyżej wytknęli, jest uprzedzeniem, i głęboko zakorzenionym przesądem wieku.

Ale taka jest potęga przesądu, które wieki długie uświęciły, że umiejętność, filozofia sama nad niemi nie przemoże, acz go proste zastanowienie się nad rzeczą, sam sąd zdrowego nie umiejętnego rozumu odsłania. Cóż to jest ta reszta ludu? są to massy, powiadają; ale właśnie dla tego, że massy, jest to całość, ciało narodowe, naród sam, którego owa tak mniemana mniejszość rozumna, tylko jest odrobiną, członkiem jednym, odłomkiem narodowym. Możnaż o ustroju człowieczym powiedzieć, że w pewnym jego członku, że w głowie n.p. jest

człowiek, a reszta ciała jest niczem, jest masą tylko? każda exekucja na szafocie przekonywa inaczej. A jeżeliby owa cząstka była tylko ręką, której ciało jako członka najzręczniejszego do robót wszelakich za siebie używa, tedy amputacje przekonywają, że się nawet reszta człowieczego ustroju bez ręki obejdzie.

Massy ludu, to rola, po której rzucone z góry nasiona wschodzą, kwiatem się rozwiną i owoc wydadzą. Owa mniejszość, jeżeli jest kwiatem i plonem tej roli, niech pamięta, że i rolę uprawiać należy, inaczej ani kwiat na niej zejdzie, ani owoc się nie pokaże. Jeżeli więc massy ludu na powierzchni swojej obrzucone są talentami, przemysłem, umiejętnością, niejako rola kłosem złotej pszenicy powiewna; widać, że lud ten, uprawiany być musiał, i zachodzi pytanie, kto i jak go uprawiał; czyli zachodzi pytanie pedagogiki ludów. Czem się dzieje, że tego ukształcenia nie było dawniej na powierzchni ludów, i że go dziś jeszcze u wielu innych nie widzimy? Dadzą się te kwiaty i drzewa owocem obległe przenieść od narodu do narodu, od Anglii n.p. do Turczek? nie. Drzewa usychają, kwiaty więdną. Dawno już pojęto tę prawdę, że oświata z narodu wyrość musi. Miałyby więc massy w dziele oświaty być nieczynne? albo starcząc soków oświecie, same być nieoświecone? Ani tego przypuścić podobna. Rozum zdrowy, gdzie tylko zawadzisz o przesąd względem mass ludu, zbija go najwydoczniej. Zaś najdobitniejszym dowodem nie już mylności takiego rozumienia, ale prawdziwie pogańskiego zaślepienia, jest to, że Bóg sam jest nauczycielem ludów, że on wyróżnił w narodzie nie robi, że nie cząstkę jego, ale całość lud wszystkich, wiedzie drogą postępu, i w wielkim elementarzu świata, uczy ich abecadła.

Weźmy na podobieństwo dęb rozłogi, którego życie kilku wiekami się zakresła. Co rok ma się świeżym liściem, co rok obrzuca kwieciami, co rok owoc rodzi, a wśród tych zmian rocznych pień drzewa coraz rozmaga się, i rozrasta, i z krza młodzieńczego powstaje z czasem olbrzym drzewi, o którego się roztrącają orkany i burze. Takim samym torem idzie przez wieki wychowanie ludu. On sam jest pniem dębu, liść co rok nowy, to pokolenia, kwiat u czubków gałązek, a później owoc tam uwieszony to mniejszość ludu ukształcona. Ale gdy i liść i kwiaty opadają rok rocznie dęb zawsze dębem, i coraz większa jego rozmoga.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Nakładem księgarni W. Stefańskiego w Poznaniu wyszła ballada A. Mickiewicza »Świtezianka«, na śpiew ułożona z towarzyszeniem fortepianu, przez Loewego. Znane nam są inne ballady jego, jako: Trzech Budrysów, Czaty, Pierwiosnek, — jakkolwiek z wielkim napisane talentem, nie dochodzą przecie Świtezianki śpiewnością, wdziękiem, głębokim czuciem, pełnością życia. Widać, że panu Loewe nie są obce śpiewy narodowe polskie, bo z nich urok i technienie umiał przelać w śpiew dziewicy Świtezii. Polecamy więc balladę tę Loewego z tym zaręczeniem, że każdemu podobać się będzie.

Nie mieliśmy dotąd obszerniejszych tablic synchronistycznych do dziejów polskich, w którychby jak w jednym obrazie główne rysy dziejów tak w narodzie naszym jakoteż i w krajach ościennych były skreślone. Temu niedostatkowi przyszedł w pomoc p. S. swemi tablicami synchronistycznymi tego rodzaju, z wielką pracowitością i oględnością napisanymi. Nie masz faktu ważniejszego w dziejach naszych, którego by autor nie umieścił, obok równoczesnych dziejów w państwach: Papieżkim, Francyi, Niemczech, Rossyi, Szwecyi, Turczek, z wspomnieniem o wojownikach i uczonych w Polsce, jakoteż o kulturze powszechniej i zdarzeniach ważniejszych, w niektórych miejscach nawet autor zbyt troskliwie rzeczy nie dotyczące powszechności nagromadził, np. pod rokiem 1739., że Sułkowski nabył dobra Leszczyńskie. Zawsze jednak tablice te zasługują na pochwałę, a jedną chlubę wydawcy, że je z taką poprawnością i ozdobą wydał. Wydawcą jest księgarz J. K. Żupański w Poznaniu.

Przemycarze coraz więcej łamią sobie głowę nad sposobami uchylania się od opłaty cła wchodowego. Tak niedawno w Szwajcaryi puszczano z wiatrem mnóstwo balonów, w jednym z nich odkryto przez przypadek towary, na które we Francyi wielkie cło jest nałożone.

Podług Charivari paryzkiego znaczy ultimatum teraz w polityce tyle, co początek.

W jednym kraju słynnym z ucisku ludu, zaszedł chłop drogę swojemu panu i rzekł: »Nasz kraj, jasnie panie, to jak życie Jezusowe, tylko w odwrotnym stósunku!« — »Jak to?« zapytał pan. — »Dyć prawda, jasnie panie,« rzekł chłop — »Jezus umarł za wszystkich, a w naszym kraju umierają wszyscy za kilku.«

Angielski bankier Sair, został oskarżony o zamiar porwania króla Jerzego III. i uprowadzenia go do Filadelfii. Przed szranki sądu stawiony, rzekł:

»oskarzenie to, moi panowie, w rzeczy samej, godnym jest politowania; wiem ją dobrze, na co się przyda bankier królowi, ale zaprawdę nie pojmuję, co bankier z królem by począł.«

o Stowarzyszenia wstrzemięźliwości. W Irlandyi i północnej Ameryce, gdzie stowarzyszenia wstrzemięźliwości najwięcej liczą członków, wykształcił się też sposób uchylecia się od przyjętych zobowiązań. Tak n. p. jeden przysiągł, iż przez miesiąc ni razu wódki nie wypije, dla tego maczał chleb w wódcze i jadł ją; inny zaś przyrzekł nie pić wódki, dopóki żyć będzie na tej ziemi, wchodził więc na drzewo i na niem się upijał. Trzeci zaś zobowiązał się ani w domu, ani po za domem nie upijać się, stawał przeto nogą jedną na dworze, drugą w domu i sądził, że stojąc nad progiem, nie nadwierał przysięgi, pijąc aż do upadłego. Mimo te żartobliwe na stowarzyszonych rzucone pociski, przyznać należy, że towarzystwa wstrzemięźliwości wiele dobrego zaszczyliły wśród ludu, a mianowicie w Irlandyi, gdzie kazania Mathewa Dominikana milijony nawróciły do wstrzemięźliwości. O skutku tych kazań najlepiej przekonać się można z mowy kanclerza izby skarbowej angielskiej, przy sprawozdaniu z tegorocznych dochodów państwa, iż w Irlandyi dwa miliony talarów obliczonych na podatki od gorących napojów, nie weszło do skarbu, jak laty dawnemi. Przypisać ten niedobór w podatkach należy jedynie towarzystwom wstrzemięźliwości. Przeciwnie zaś w Londynie się dzieje. Tam założono niedawno szynk z następującym napisem: *Dead drunk for six pence. Fresh straw in the cellar, to jest, tu można się upić za 6 penców (1 zł. pol.), a w sklepie znajduje się świeża słoma (dla pijanych).* Gospodarz na tém bardzo zarobił, tłumy zaległy dom jego, a w ciągu tygodnia umarło w nim 13 osób w skutek zbytnich napojów. Mimo to ogłasza duchowieństwo anglikańskiego kościoła, niechętnie patrząc na wpływ katolickiego Mathewa w Irlandyi, tę wstrzemięźliwość za czynnek niepodobający się Bogu, a towarzystwa wstrzemięźliwości, za »sprawy czartowskie.«

Krytyka na łożu śmiertelném. Sławny H. niedawno temu umarł w Paryżu. Lekarze złożyli radę krótko przed zgonem jego i wrócili do umierającego. Andral rzekł do niego: »Mości panie, nabierz odwagi! porusz się silnie, lub zakaszlnij, albo też gwiznij.« H. pojrzał po nich i rzekł: »o zaprawdę, na to ostatnie zasłużyliście!« potem obrócił się od nich i umarł.

Zkąd powstało nazwisko lwów w modzie. W Paryżu nazywają od dawnego czasu pier-

wszych w modzie Lionnes i Lions. Zkąd to pochodzi? Tallemant des Réaux powiada o pannie Paulet: jej zapał, jej odwaga, jej duma, jej błyszczące oczy i jej włos żółto-lity zjednały jej nazwę »lwicy.« W roku 1633. napisał Chapelain »Powieść o lwicy,« która powszechnie uczyniła wrażenie, a nawet sam autor był opiewany przez poetów. Ztąd poszło, że wszystko co się odznacza pięknoscią, doborem, Lionne lub Lion, nazywają.

Zdanie Indostana o pannie Taglioni. — Dwóch Indostanów bawiąc przez dwa lata w Anglii, wydali teraz pamiętniki o swym tamże pobycie, a między innemi znajdujemy zdanie o operze: »Na scenie — mówią — widzieliśmy wiele dziewcząt jednak ubranych, bardzo ładnych, które tańczyły i trudne ruchy i t. d. wykonywały, na jednej nodze stawały, szybko obracały się, a drugą na prost wystawiały. Było ostatni wieczór, gdzie Taglioni, ulubiona francuzka tancerka, miała po raz ostatni tańczyć w Anglii, a jej angielski przyjaciel, częsty nasz towarzysz, wypytywał się, jak nam się jej taniec podoba. On sam był nią nadzwyczaj zajęty, i dziwił się jego zaręczeniom, iż za każdy wieczór tańca sto pięćdziesiąt gwineów pobiera. Wystawcie sobie, 150 gwineów dają w Anglii dziewczynie za to, że jak gęś na jednej nodze stawa, drugą wyciąga, potrzykroć żwawo się obróci, a tak nisko się schyla, jakby usieść chciała, a potem i na tę i na ową stronę sceny skacze. Wszystko nie trwało godziny. I za tę jedną godzinę otrzymała tyle, co sześciu tkaczy pięknych jedwabów w Spitafields przez rok cały zarabia, pracując czternaście godzin na dzień. Nam się zdaje rzeczą być nierozsądną, iż tam tancerce za godzinę skoków więcej dają, niż tkaczom jedwabów za całoroczną pracę, na utrzymanie ich żon i dzieci.« — I nagrobki na cmentarzach bardzo ich zadziwiły. »Na nagrobkach,« mówią — »dziwne nieraz skreślone są rzeczy; czasem tam żywi oplakują umarłych, czasem zaś sami umarli opowiadają przechodniom swe dzieje. W Chatham widzieliśmy nagrobek, który wystawił mąż zmarłym dwom swoim żonom; po umieszczeniu imienia i wieku pierwszej żony, tak dalej mówi: »Pan ją dał, Pan ją wziął, niech będzie imię Pańskie pochwalone.« W kilka lat potem umarła mu druga żona, a po imieniu i latach, tak dalej było napisane: »Wolałem do Pana i On mnie wysłuchał i uwolnił mnie od wszystkiego złego.«

Rewolucyjne pomysły u Chińczyków. — Cesarz chiński, jak wiadomo, bywa nazywanym niebiańskim majestatem, wymaga i odbiera od swoich poddanych cześć boską, mimo to myślą tam jednak

o nim inaczej; tak pewien starożytny chiński pisarz porównywał cesarza z rybą, a lud z wodą; woda może być bez ryby, ryba zaś bez wody obejść się nie może. Inny uczyony powiada: syn nieba stworzony został dla świata, nie zaś świat dla niego. Stary cesarz sam o sobie powiedział, że panujący jest jak piękny okręt po łyszczących wodach, ale wody, po których on pływa, mogą go pochłoniąć.

W przeszłym miesiącu umarła w Paryżu owdowiała Bouvin, doktor medycyny i autorka kilku dzieł ważnych lekarskich, o anatomii pathologicznej i chorobach niewieścich. Dawniej była nadzorczynią król. lazaretu. Otrzymała kilka nagród za najlepsze rozprawy, które towarzystwa uczonych naznaczyły, i których ona członkiem była. Od niejakiego czasu żyła spokojnie na łonie swjej rodziny. Urodziła się roku 1774.

MODY. — Paryż, dnia 16. Czerwca 1841. Jedna z moich przyjaciółek w tych dniach poszła za mąż, winnam więc opisać w części jej wyprawę. Między podarunkami z strony narzeczonego postrzegłam suknię z pekinu ciężkiego, w kolorze grynszpanu; inną z poux de soie na tle żółtem, z rozrzuconym rzucikiem hiacenty, wiele innych jeszcze sukien z tkanin przerabianych. Wystawiam sobie ów pekin zielony strojny angielskimi koronkami, diamentami, z przodu otwarty, z malenkiem ruchem, a na głowę półwianek z stokrocza i szpilek diamentowych. Przymięt leżał piękny szal z kitajki kaszemirowej.

Nie mówiłam nic jeszcze o długich szalach fantazyjnych, o latowych burnusach z lazurowego batystu welnianego, o chusteczkach czarnych koronowych, a jednak o nich zapominać nie należy. Burnus jest pięknym przy owej pojedynczości i przystroju w guście arabskim.

Krótkie odzienia z organtyny pasiastej z obszernymi rękawami, w środku kokardą wstążkową związanymi, stanowią teraz piękny i wygodny ubiór. Nie są to suknie, ani koszulki, są to latowe kasawaki, w których odwiedzin przyjmować nie można, ale gniewać się też nie należy, jeżeli nas w takim ubiorze zejdą niespodzianie.

W żadnym roku nie zachodziła tak wielka różnica w toaletach o różnych porach dnia. Z rana ubrana jest dama w pospolitym negliżu, można to policzyć do osobliwości modnej, tak prostym bywa

ten ubiór, — w dwie godziny też sama dama ukazuje się w negliżu, ale strojnym, można go nazwać eleganckim i zalotnym. Na wyjście, ta sama w ubiorze pojedynczość, a można ją nazwać afektowaną niedbałością; na przechadzki zaś strojność aż do przesady. Nie można prawie tej samej damy poznać, co wieczorem w domu opery ukazała się w koronkach, diamentach, a z rana, kiedy wyszła do składów modnych, w ubiorze niedbałym. Ma na sobie amazonkę z welnianej tkaniny, z dreliszku lub dreliszku kitajkowego, aby jak najmniej uczynić wrażenia. Na głowie kapotka z grubej słomy, przynajmniej tak wygląda, bez żadnych kwiatów lub piór.

Ubiór podróżny. Szlafroczek amazoński z dreliszku w drobne paski nad ogół oszyty cieńkiem szemkiem tegoż holoru co szlafroczek. Kapelus z słomy angielskiej z wystrojem aksamitnym lub słomkowym.

Ubiór na wsi. Szlafroczek nankinowy, otwarty, włóczką nankinową lub zieloną ohaftowany, podobny haft na staniku otwartym szalikowym; półobszernie rękawy, podniesione na ramieniu wążką i ohaftowaną częścią. Suknia spodnia batystowa z garniturem fałdowanym. — Szwajcarskie półkoszółcze. Włoski kapelus słomkowy z girlandą z trawy. Szal długi jedwabny. O innych ubiorach, w następnym opowie sprawozdaniu.

Mody męskie ograniczają się wyłącznie na frakach z długimi i szerokimi połami, i surdutach krótkich i bardzo obcisłych. Ostatnie odznaczają się wążkim kołnierzem i szerokimi wylogami na piersiach. Powszechnym zwyczajem jest teraz, nie nosić podpiniek do pantalonów na ubiór zwyczajny. Do kamizelek z białej lub paliowej piki, lub w drobne wzory, używają guzików złotych, z srebrną płaskorzeźbą.

Objaśnienie ryciny.

1. Frak z szerokiemi połami, świecącemi guzikami i obcisłemi rękawami. Mankietki wywiniete.
2. Kapelus z ryżowej słomy i wstążką zdobny. Suknia jedwabna.
3. Kapelus ryżowy piórami strojny. Suknia z grosdenaplu, z półobszernemi rękawami. Szarfa grosdenaplowa, z długą fręzlą.
4. Krótki ciemny surdut z wążkim kołnierzem, wielkimi klapami i wielkimi guzikami. Białe pantalony.

Oświadczenie. Z numerem 13., kończy się półrocze Dziennika domowego i dla tego o wczesne zamówienia na król. pocztamtach na nowe półrocze, uprasza
Redakcja.



A. Brückner del.

